

HENRY DAVID THOREAU

ŻYCIE BEZ ZASAD

10
Zielona Góra 1998

ŻYCIE BEZ ZASAD

Niedawno na pewnej sali wykładowej odniosłem wrażenie, że prelegent wybrał temat zbyt mu obcy i dlatego nie zdołał zainteresować mnie tak, jak by mógł. Nie mówił z głębi serca o rzeczach bliskich mu, ale przedstawiał problem w sposób skrajny i powierzchowny. Stąd brakowało w wykładzie prawdziwego skupienia czy skupiającej uwagi myśli. Wolałbym, aby jak poeta, podzielił się swoimi najbardziej intymnymi doświadczeniami. Kiedy pewnego razu ktoś mnie zapytał, co ja myślę, i wysłuchał mojej odpowiedzi, czułem się tak, jak gdyby powiedziano mi największy w życiu komplement. Jestem zdziwiony i zarazem zachwycony, gdy coś podobnego się zdarza – rzadko kto bowiem wykorzystuje mnie w sposób, który wskazywałby na znajomość rzeczy. Przeważnie, jeśli ludzie chcą się czegoś ode mnie dowiedzieć, pytają albo o liczbę akków w ich majątkach ziemskich – jako że jestem mierniczym – albo w najlepszym razie o zasłyszane plotki. Z obojętnością traktują moje wnętrze – wolą skorupę. Pewnego dnia ktoś przebył kawał drogi, aby poprosić mnie o wygłoszenie wykładu na temat niewolnictwa, lecz podczas rozmowy zorientowałem się, czego wraz ze swoją kliką oczekuje. Otóż przez siedem ósmych wykładu miałem wygłaszać ich poglądy, a tylko przez jedną ósmą swoje własne. Tedy odmówiłem. Kiedy prowadzę prelekcję – a mam trochę doświadczenia w tych sprawach – gdziekolwiek by to było, przyjmuję za rzecz z gruntu oczywistą, że moi słuchacze naprawdę chcą usłyszeć, co ja myślę na dany temat, gdybym nawet był największym głupcem w kraju, a nie, że oczekują tylko przyjemnych tematów albo takich, jakie by przypadły im do gustu. Zgodnie z tym postanawiam zawsze dać im możliwość pochwalenia siebie. Posłali po mnie, zdecydowali się za mnie płacić, dają im więc siebie, chociaż może nudzić ich, jak nikt przedtem.

A zatem teraz wygłoszę coś podobnego do was, moi Czytelnicy. Skoro Wy jesteście moimi Czytelnikami, a ze mnie żaden wielki podróżnik, nie będę mówił o ludziach żyjących hen, tysiące mil stąd, lecz o zamieszkujących moją rodzinną okolicę.

Zastanówmy się nad tym, jak żyjemy.

Ten świat jest targowiskiem. To krzątania nie mająca końca! Prawie co noc budzi mnie sapanie lokomotywy i wrywa z sennych marzeń. Nie ma, niestety, szabasu. Wspaniale byłoby ujrzeć choć raz odpoczywającą ludzkość. A tu tylko praca, praca i jeszcze raz praca. Mam trudności nawet z zaopatrzeniem się w notatki, w których mógłbym zapisywać swoje myśli, można je bowiem nabyć jedynie za dolary i centy. Pewien Irlandczyk ujrzawszy mnie kiedyś na polu, pogrążonego w rozmyślaniach, przyjął za rzecz oczywistą, że obliczam swoje zarobki. Jeśli ktoś wypadł w dzieciństwie przez okno i został kaleką na całe życie albo Indianie wystraszyli go tak, że postradał zmysły, zasługuje na litość głównie dlatego, że uczyniło go to niezdolnym do... zarabiania pieniędzy! Myślę, że nie istnieje nic, nawet zbrodnia, co stanowiłoby większe przeciwieństwo poezji, filozofii, ba - życia samego aniżeli owa ustawiczna pogoń za zyskiem.

Na rogatkach naszego miasteczka mieszka pewien nieokrzesany i hałaśliwy groszorób, który zamierza postawić mur wzdłuż granicy swojej łąki u stóp wzgórza. Władze miejskie wbiły mu ten pomysł do głowy, aby nie miał czasu na głupstwa. Chciałby, żebym pomógł mu tam kopać przez trzy tygodnie. W rezultacie dorzuci jeszcze trochę grosiwa do swojego trzosa i zostawi je spadkobiercom, którzy je potem roztrwonią. Jeżeli zgodzę się na jego propozycję, większość ludzi pochwali mnie za

pracowitość i ciężką harówkę, ale jeśli będę wolał się poświęcić jakiejś innej robocie przynoszącej bardziej istotne korzyści, choć niewiele pieniędzy - mogą patrzeć na mnie jak na nieroba. Niemniej, ponieważ nie chcę być zmuszony do wykonywania pracy pozbawionej sensu i absolutnie nie widzę nic chwalebniejszego w przedsięwzięciu tego jegomościa, podobnie jak i w wielu inicjatywach naszego lub obcych rządów - jakkolwiek dla niego czy dla nich mogą być one atrakcyjne i zabawne - wolę pobierać nauki w innej szkole.

Jeżeli człowiek codziennie spędza większość czasu spacerując po lasach, albowiem je kocha, grozi mu niebezpieczeństwo, że uznają go za próżniaka, lecz jeżeli cały dzień jako spekulant wycina te lasy i przedwcześnie ogoląca ziemię, uchodzi za pracowitego i przedsiębiorczego obywatela. Jak gdyby zainteresowanie miasta lasami ograniczało się tylko do ich wycinania.

Większość ludzi czułaby się znieważona, gdyby zaproponowano im zatrudnienie przy przerzucaniu kamieni przez mur tam i z powrotem, po to tylko, aby mogli zarobić trochę pieniędzy. Teraz jednak sporo z nich wykonuje pracę niewiele bardziej wartościową. Pewnego letniego poranka, na przykład zaraz po wschodzie słońca ujrzałem jak jeden z moich sąsiadów, pochłonięty bez reszty pracą, kroczył przy zaprzęgu ciągnącym powoli wielki ciosany kamień, który kołysał się pod osią. Dzień pracy się rozpoczął, czoło mu spotniało, jak gdyby rzucając wyzwanie wszystkim próżniakom i nierobom - odpoczywał ramię w ramię ze swoimi wołami i w pól się obracając wymachiwał litościwie batem, gdy pozostawały w tyle. Pomyślałem wtedy: Kongres Amerykański istnieje po to, aby ochraniać taką oto pracę - uczciwy ludzki trud, uczciwy jak dzień długi, trud, który sprawia, że chleb smakuje słodko i społeczeństwo rozplywa się w słodyczy, trud, który cała ludzkość poważa i uświęca; oto jeden ze świętego stowarzyszenia przy pożytecznej, lecz mozolnej harówce. Istotnie, poczułem lekkie wyrzuty, ponieważ obserwowałem to wszystko przez okno, a nie krzątałem się na dworze wokół podobnego zajęcia. Dzień minął, wieczorem zaś przechodząc koło podwórza innego z sąsiadów, który trzyma dużo służby i trwoni pieniądze nie wzbogacając niczym wspólnego majątku, ujrzałem, że kamień znany mi z porannych obserwacji leży obok dziwacznej konstrukcji mającej spełniać rolę ozdoby posiadłości tego lorda Timothy Dextera. I wtedy natychmiast praca woźnicy straciła w mych oczach całą swoją godność. Moim zdaniem słońce stworzono po to, by oświetlało trud ludzki wart więcej aniżeli ten. Dodam, że zadłużony u większości mieszkańców pracodawca woźnicy uciekł z miasta i złożywszy krótką wizytę w Sądzie Najwyższym, osiedlił się gdzieś indziej, aby tam znowu zostać mecenasem sztuki.

Niemal wszystkie sposoby, którymi zdobywa się pieniądze, ubliżają człowiekowi. Zrobić, cokolwiek, by zarobić tylko pieniądze, to znaczy w istocie nie zrobić nic albo jeszcze gorzej. Jeżeli robotnik nie otrzymuje nic poza zarobkami wypłacanymi mu przez pracodawcę, oszukują go i on też sam siebie oszukuje. Jeśli ktoś chce zarobić jako pisarz czy prelegent, musi być popularny, a to oznacza gwałtowne staczanie się w dół. Najmniej przyjemnie wyświadcza się te usługi, za które społeczeństwo najchętniej płaci. Płaci za to, że jest się czymś mniej niżli człowiekiem. Państwo również nie nagradza geniusza ani odrobinę mądrzej. Nawet nadworny poeta wolałby, aby do jego obowiązków nie należało opiewanie królewskich poczyniń. Muszą go przekupić beczką piwa i być może jeszcze jednego poetę oderwać od muzy, aby posłużył za probierz owej beczki. Co się tyczy mojego

zawodu, to pracodawcy nie chcą, ażebym wykonywał nawet takie pomiary gruntu, jakie dalyby mi całkowite zadowolenie. Woleliby, bym się nie przejmował i pracował niezbyt dobrze, ba, wręcz niedbale. Kiedy informuję swojego pracodawcę, że istnieją różne metody pomiarów, on pyta zwykle o tę, która może mu przysporzyć najwięcej ziemi, a nie o tę, która jest najdokładniejsza. Wynalazłem kiedyś pewien sposób mierzenia drewna opałowego i próbowałem wprowadzić go w Bostonie, lecz tamtejszy specjalista oświadczył mi, że handlarze nie chcą, aby drewno mierzone im dobrze, i że nawet on jest dla nich zbyt dokładny. Mają swoich ludzi w Charlestown przed mostem.

Celem pracującego nie powinno być zarabianie na życie czy też otrzymanie "dobrej pracy", ale dobre wykonywanie danej roboty. Nawet biorąc pod uwagę kwestie finansowe, miastu opłacałoby się wynagradzać pracowników na tyle hojnie, że nie odczuliby marności swoich wysiłków zapewniających im tylko utrzymanie się przy życiu, ale mieliby wrażenie, że podejmują je dla celów naukowych czy nawet moralnych. Nie najmuje człowieka, który wykonuje pracę dla pieniędzy, lecz takiego, który robi to z miłości do niej.

Znamienne, że nawet tę niewielką liczbę ludzi, którzy znaleźli dobre i bliskie zamiłowaniu zatrudnienie, trochę większą ilość pieniędzy lub sławy mogłaby przekupić i skłonić do porzucenia obecnego zajęcia. Widuję ogłoszenia poszukujące energicznych młodych ludzi, tak jakby energia i aktywność stanowiły jedyny kapitał młodego człowieka. Zdziwiłem się jednak, gdy ktoś w zaufaniu złożył mi, dorosłemu człowiekowi, propozycję, abym się zaangażował w jego przedsięwzięcia i plany, jak gdybym nie miał absolutnie nic do roboty, a moje dotychczasowe życie było kompletnym niepowodzeniem. Wątpliwym komplementem mnie poczęstowano! Zupełnie jak gdyby spotkano mnie walczącego z wiatrem na środku oceanu, lecz dążącego donikąd, i zaproponowano wspólną podróż. Gdybym przystał na nią, jak się wam wydaje, co na to powiedziałoby towarzystwo ubezpieczeń morskich? Skądże jednak, wcale się nie zgodziłem! Nie jestem bezrobotny w tym stadium mojej wędrówki. Trzeba przyznać, że kiedyś w dzieciństwie przechadzając się po rodzinnym porcie zauważyłem ogłoszenie poszukujące sprawnego fizycznie marynarza i gdy tylko dorosłem, zaciągnąłem się na statek.

Spółczeństwo nie dysponuje taką łapówką, na jaką mądry człowiek mógłby się połakomić. Nigdy się nie uzbiera tak wysokiej sumy pieniędzy, aby móc nająć człowieka, który nie wtrącałby się w cudze sprawy - łatwiej już zebrać fundusze na przekopanie tunelu pod jakąś górą. Zdolny i wartościowy człowiek robi wszystko, co leży w jego możliwościach, bez względu na to, czy społeczeństwo płaci mu, czy nie. Natomiast niekompetentni sprzedają swoją ignorancję temu, kto oferuje najwyższe stawki, i są przekonani, iż nigdy nie znajdą się bez pracy. Prawdopodobnie rzadko mają sposobność odczuwać rozczarowanie.

Zbyt czysto może strzeżę zazdrośnie swojej wolności. Czuję, że moje związki ze społeczeństwem i zobowiązania wobec niego ciągle są jeszcze luźne i krótkotrwałe. Te drobne zajęcia, dzięki którym zdobywam środki do życia i jestem w pewnym stopniu przydatny współczesnym, sprawiają mi, jak dotychczas, na ogół przyjemność i nieczęsto przypomina mi się, że są koniecznością. Przeto w tych sprawach wszystko układa się po mojej myśli. Przypuszczam, że gdyby moje potrzeby znacznie wzrosły, praca, dzięki której byłbym w stanie je zaspokoić, stałaby się harówką. Gdybym, podobnie jak większość ludzi, odsprzedał całe swoje ranki i popołudnia

społeczeństwu, pewien jestem, że nie pozostałoby dla mnie samego nic, dla czego warto byłoby żyć. Wierzę zatem, że nigdy nie sprzedam swego pierworództwa za misję soczewicy. Chciałbym podkreślić, że wielka pracowitość człowieka nie jest równoznaczna z dobrym wykorzystywaniem przez niego czasu. Nikt nie popełnia fatalniejszych pomyłek aniżeli ten, kto poświęca większość życia zarabianiu na nie. Wszystkie wspaniałe przedsięwzięcia są samowystarczalne. Poeta, na przykład, musi poezją utrzymywać swoje ciało, tak jak tartak parowy karmić swoje kotły strużynami, które sam sheblowuje. Na życie należy zarabiać kochając. Lecz to, co mówi się o kupcach, że dziewięćdziesięciu siedmiu na stu ponosi fiasko, można też na podstawie tego samego kryterium powiedzieć o życiu ludzkim, jest ono bowiem zazwyczaj niepowodzeniem i można mu prorokować niechybne bankructwo.

Kiedy człowiek ujrzy światło dzienne jako dziedzic fortuny, nie rodzi się, lecz wydany jest na świat niby istota martwa. Jeżeli z kolei utrzymuje się z dobroczynności przyjaciół lub renty rządowej - zakładając, że nadal oddycha - żyje jak w przytułku, bez względu na to, jakimi pięknymi synonimami określa się jego położenie. Nieszczęsny dłużnik chodzi w niedzielę do kościoła, aby podsumować swój kapitał, i okazuje się, że oczywiście wydatki przewyższają dochody. Wierni Kościoła katolickiego udają się wtedy do konfesjonału, spowiadają się szczegółowo, po czym postanawiają wszystko rzucić i zacząć od nowa. Tedy powalona na łopatki ludzkość bez końca będzie rozprawiała o upadku człowieka, nigdy zaś nie zdobędzie się na wysiłek, aby powstać.

Wymagania ludzi od życia można porównać dzieląc ich na dwie poważnie różniące się grupy. Jednych zadawala średnie powodzenie, to, że zawsze trafiają wprost do celu, inni zaś, bez względu na to, jakim pasmem niepowodzeń jest ich życie, bezustannie stawiają sobie coraz to wyższe cele, mimo że dążenia ich niezbyt szybko ulegają ewolucji. Ja osobiście wolałbym należeć do tej drugiej grupy, chociaż jak mówią ludzie Wschodu: "Wielkość i sława nie nawiedzają tego, kto zawsze nisko sięga wzrokiem; a wszyscy ci, którzy mierzą wysoko, stopniowo ubożeją".

Jakże znamienne, że napisano niewiele, a właściwie nic godnego uwagi na temat zarabiania na życie - aby nie było tylko uczciwe i szlachetne, ale zarazem pociągające i wspaniałe; jeżeli bowiem zarabianie na życie takie nie jest, to i samo życie też nie. Patrząc na literaturę można by pomyśleć, że problem ten nigdy nie zaprzętał niczyjej uwagi. Czyżby praca napawała ludzi aż takim wstrętem, że nie chcą o niej mówić? W charakterze naszym leży skłonność do lekceważenia sobie lekcji wartości, której uczy pieniądź, lekcji, którą Stwórca Wszechświata drogo okupił bólem, aby sam ją wpoić. Jeśli idzie o środki do życia, zdumiewające, jak obojętne jest ludziom wszystkich klas, nawet tak zwanym reformatorom, czy dziedziczka je, czy sami zdobywają, czy też kradną. Myślę, że społeczeństwo nic dla nas w tym względzie nie uczyniło albo w najlepszym razie zniweczyło to, co niegdyś zdołało uczynić. Wydaje mi się, że zimno i głód są bliższe mojej naturze aniżeli metody, które ludzie przyswoili sobie i zalecają innym jako skuteczną obronę przed owymi klęskami.

Tytuł mędrca bywa w większości wypadków stosowany niewłaściwie. Jak można kogoś uważać za mędrca, jeżeli nie wie ani odrobinę lepiej od innych, jak żyć? Jeśli jest tylko sprytniejszy i umysł ma bardziej bystry? Czy mądrość pracuje w kieracie lub służy nam przykładem, jak mądrze żyć? Czy istnieje coś takiego, jak mądrość nie wykorzystywana w życiu? A może jest ona tylko młynarzem mielącym najczystsza logikę? Warto by spytać, czy Platon znał lepszą i zapewniającą większe powodzenie

receptę na życie, czy też podobnie jak inni, nie mógł się uporać z trudnościami? Czy wydawało się, że nad niektórymi z nich triumfuje tylko dzięki obojętności lub wyniosłej postawie? Albo może łatwiej było mu żyć, gdyż ciotka nie zapominała o nim w testamentcie? Sposoby, którymi większość ludzi zarabia na życie, a więc żyje, są tylko namiastką, skurczoną istotą prawdziwego życia - głównie z powodu ludzkiej niewiedzy, lecz po części także z braku dążenia do czegoś lepszego.

Taki pęd do Kalifornii¹, na przykład, i związana z nim postawa nie tylko kupców, ale także filozofów i tak zwanych proroków, przynosi największą hańbę ludzkości. Że też tak wiele ludzi gotowych jest żyć na los szczęścia i zdobywać w ten sposób środki do nadzorowania pracy tych, którym szczęście nie dopisało, nie wzbogacając zarazem społeczeństwa żadnymi wartościami. I to ma się nazywać przedsięwzięciem! Nie znam bardziej wstrząsającego postępu demoralizacji pracy i wszelkich powszechnych sposobów zarabiania na życie. Filozofia, poezja i religia takiej ludzkości niewarte są złamanego szeląga. Wieprz, który zapewnia sobie byt ryjąc i przez to spulchniając ziemię, wstydziliby się takiego towarzystwa. Jeżeli kiwnąwszy palcem mógłbym uzyskać nadzór nad bogactwem wszystkich światów, nie zapłaciłbym za to również takiej ceny. Nawet Mahomet wiedział, iż Bóg nie stworzył tego świata w żartach. Widzimy zatem w Bogu majątnego dżentelmena rozsypującego garść groszaków po to, aby ujrzeć wydzierającą ją sobie ludzkość. Dobroczynna światowa wenta! Środki egzystencji w dobrach przyrody rzeczą, o którą gra się na loterii! Co za komentarz do naszych instytucji, co za satyra! Wszystko to skończy się tak, że ludzkość powywiesza się na gałęziach drzew. Czyż tylko tego nauczą ludzi niezliczone przykazania we wszystkich bibliach? Czy najnowszym i najbardziej godnym podziwu wynalazkiem ludzkości jest jedynie życie w coraz głębszym bagnie? Czy na tym właśnie gruncie spotykają się ludzie wschodu i zachodu? Czy Bóg nauczał nas tego, abyśmy zarabiali na życie kopiąc tam, gdzie nic nie zasialiśmy, za co on nagrodzi nas, być może, bryłami złota?

Człowiek prawy dostał od Boga list żelazny zapewniający mu pożywienie i odzież, lecz człowiek nieprawy znalazł w Bożym skarbcu jego kopię, przywłaszczył ją sobie i też otrzymał jadło i szaty. Jest to jeden z najszerzej rozgałęzionych systemów fałszerskich, jakie świat kiedykolwiek widział. Nie zdawałem sobie sprawy, że ludzkość cierpi z braku złota. Wiem, jak ono wygląda. Wiadomo mi, że jest kowalne, ale nie aż tak, jak rozum. Okruczem złota można położyć wielką powierzchnię, ale nie tak wielką, jak okruczem mądrości.

Poszukiwacz złota w górskich wąwozach jest takim samym hazardzistą, jak jego przyjaciel w barach San Francisco. Co za różnica, czy potrzasa się sitem, czy też kości w kubku? Jeśli jednostka wygrywa, społeczeństwo traci. Poszukiwacz złota to wróg uczciwego robotnika bez względu na wyrównania i rekompensaty. Mnie nie wystarczy powiedzieć, że pracował ciężko, aby zdobyć swoje złoto. Szatan też pracuje ciężko. Droga przestępców z różnych względów bywa ciężka. Obserwując pracę w kopalni każdy przyzna, że poszukiwanie złota ma charakter loterii - złoto tam uzyskane to nie to samo, co zapłata za ciężką, uczciwą pracę. Na dobrą sprawę jednak zapomina o tym co widział, albowiem widział sam fakt, a nie istotę rzeczy. Podejmuje w kopalni pracę, czyli kupuje bilet na inną loterię, w której skutki jego przedsięwzięcia nie są tak oczywiste.

¹ Mowa o gorączce złota, która rozpoczęła się w latach 1848-49.

Kiedy pewnego wieczora przeczytałem relację Howitta² z terenów objętych gorączką złota w Australii, całą noc miałem przed oczyma liczne doliny pełne błękitnych strumieni, poprzecinane odrażającymi kanałami o głębokości od dziesięciu do stu stóp i szerokości kilku, wykopanymi tuż koło siebie i częściowo wypełnionymi wodą - okolicę, którą ludzie penetrują w gwałtownym pośpiechu, z nadzieją, że przyniesie im majątek. Niepewni, gdzie zacząć kopać, myślą jedynie o tym, że może właśnie ich działka kryje w sobie złoto. Czasami przekopią sto sześćdziesiąt stóp, zanim natrąfią na żyłę albo też miną ją o stopę. Niby demony lekceważą prawa innych, kierowani żądzą złota dziurawią jamami całe doliny tak, że nawet setki poszukiwaczy topią się w nich - stojąc w wodzie, umazani błotem i gliną pracują dzień i noc umierając z zimna i chorób. Po przeczytaniu tego opisu, gdy już niektóre jego fragmenty uleciały mi częściowo z pamięci, podobnie jak inni pomyślałem przy okazji o moim własnym niezadowolającym życiu, i mając wciąż przed oczyma tę wizję wykopów spytałem samego siebie, dlaczego ja nie mógłbym wypłukiwać codziennie odrobiny złota, bodaj najdrobniejszych okruchów, dlaczego nie mógłbym wryć się szybem w złoto zalegające we mnie i wyeksploatować tej kopalni. Tam właśnie czeka na ciebie jakieś Ballarat czy Bendigo - co jednakże, gdyby się okazało, że to tylko posepna jama? W każdym razie mógłbym powędrować jakąś ścieżką, najbardziej ustronną, wąską i krętą, którą kroczyłbym z miłością i czcią. Kiedy człowiek odłącza się od tłumu i obiera własną drogę, wtedy rzeczywiście gościniec się rozwidla, chociaż zwykli podróżni dostrzegają tylko wyłom w płocie. Jego samotna wędrownica przez dole i niedole okaże się drogą wznioślejszą.

Ludzie pędzą do Kalifornii i Australii, jak gdyby tam właśnie można było znaleźć owo prawdziwe złoto; w ten sposób jednak śpieszą w kierunku skrajnie przeciwnym - nie tam, gdzie się ono rzeczywiście znajduje. Idą i coraz bardziej się oddalają w swoich poszukiwaniach od właściwej żyły, a najbardziej godni pożałowania są wówczas, gdy uważają się za najszczęśliwszych. Czyżby nasza rodzima ziemia nie była złotodajna? Czyż przez naszą rodzimą dolinę nie przepływa strumień tryskający źródłem w złotych górach i czy od wieków nie nosi nam iskrzących się grudek i nie formuje ich w bryły? Dziwna rzecz, ale jeżeli poszukiwacz złota, chcąc znaleźć to prawdziwe złoto, ucieknie skrycie w otaczające nas niezbadane przestrzenie, nie ma obawy, aby ktoś go śledził i usiłował wyprzeć z działki. Może sobie przywłaszczyć i przekopać nawet całą dolinę, zarówno jej grunty uprawne, jak i nieuprawne, a mimo to nikt przez całe życie nie będzie go niepokoił, nikt bowiem nigdy nie zakwestionuje jego roszczeń do tej ziemi. Nikt nie będzie miał nic przeciwko jego pluczkom ani sitom. Nie musi się zadowalać działką o dwunastu stopach kwadratowych, tak jak w Ballarat, lecz może kopać wszędzie i przepłukać przez swe sito cały świat.

Howitt tak oto opowiada o człowieku, który w Bendigo w Australii znalazł wielką bryłę ważącą dwadzieścia osiem funtów: "Rozpił się szybko, kupił konia i jeździł po okolicy zwykle galopem, a kiedy spotykał ludzi, wołał do nich, czy go znają i uprzejmie ich informował, że jest tym cholernym łajdakiem, który znalazł bryłę złota. W końcu pędząc kiedyś galopem wpadł na drzewo i o mało nie rozbił sobie głowy". Myślę jednak, że takie niebezpieczeństwo nie istniało, gdyż wcześniej już rozbił ją sobie o bryłę złota. Howitt dodaje: "jest on kompletną ruiną człowieka".

² Alfred William Howitt (1830-1908) - angielski antropolog i podróżnik po Australii.

Wszak to typowy przedstawiciel swojej kasty. Wszyscy oni są szybcy. Posłuchajcie tylko uważnie, jak brzmią nazwy niektórych miejscowości, w których poszukują złota: "Spłukany Osioł", "Wąwóz pod Głową Owcy", "Bar Morderców" i tym podobnie. Czy nazwy te nie są ironiczne? Niech sobie zabrają owe nieuczciwie zdobyte bogactwa, dokąd chcą. Uważam, że gdziekolwiek zdecydują się żyć, zawsze będzie to jakiś "Spłukany Osioł", jeśli nie "Bar Morderców".

Ostatnio wynaleziono nowe źródło naszej energii, to jest obrabowywanie cmentarzy nad Przesmykiem Panamskim - przedsięwzięcie jeszcze w powijakach, ponieważ, zgodnie z ostatnimi doniesieniami, akt regulujący ten rodzaj kopalnictwa przeszedł drugie czytanie w Izbie Prawodawczej w New Grenada. Korespondent "Tribune" donosi: "W porze suchej, kiedy pogoda pozwoli na dokładne przeszukanie okolicy, znajdują się bez wątpienia inne bogate guacas (to jest cmentarze)". Zwracając się do emigrantów daje takie oto wskazówki: "Nie przyjeżdżajcie wcześniej aniżeli w grudniu; wybierzcie drogę prowadzącą nad Przesmyk, a nie do Boca del Toro; nie obciążajcie się zbędnym bagażem, zwłaszcza zaś namiotem, ale parę ciepłych kocy niechybnie wam się przyda. Dołóżcie do tego porządną kilof, łopatę i siekiere - to niemal wszystko, co należy zabrać". Oto rady, które mogłyby pochodzić z "Przewodnika" Burke'a³. Całość kończy zdaniem pisany najpierw drobnym pochyłym drukiem, a następnie małymi drukowanymi literami: "Jeśli dobrze wam w domu - nigdzie się z niego nie ruszajcie", co bez trudu można by zrozumieć: "Jeśli dobrze sobie żyjecie, nadal rabujcie cmentarze w rodzinnych stronach".

Po cóż jednak jechać aż do Kalifornii w poszukiwaniu tematu? Wszak jest ona dzieckiem Nowej Anglii wychowanym w jej własnych szkołach i kościołach.

Znamienne, że wśród kaznodziei tak niewielu znajdzie się moralistów. Prorocy zajęci są usprawiedliwianiem ludzkich poczynań. Przewielebni starcy, "illuminati" wieku z łaskawym i pełnym zadumy nad przeszłością uśmiechem, ni to wzdychając, ni to wzdragając się, radzą mi, abym nie był zbyt wrażliwy na to wszystko, abym chcąc nie chcąc pogodził się z porządkiem rzeczy, to znaczy, abym skleił z tego wszystkiego bryłę złota. Najlepszą zatem radą, jaką usłyszałem, była taka: upodlij się. Innymi słowy mówiono do mnie, co następuje: Szkoda twój czas na próby zreformowania świata i istniejącego porządku rzeczy. Nie zadawaj pytań na ten temat, przypawi cię to o mdłości. I tak dalej, i tak dalej. Lepiej byłoby od razu umrzeć z głodu, aniżeli stracić niewinność zarabiając na chleb. Jeżeli człowiek doświadczony nie ma w sobie nic z niedoświadczonego, jest po prostu jednym z aniołów szatana. Starzejąc się pozwalamy sobie na coraz większą niedbałość, rozluźniamy trochę dyscyplinę i w pewnym stopniu przestajemy być posłusznymi naszym najlepszym instynktom. Powinniśmy jednak być wymagający w stosunku do siebie samych aż po granice rozsądku, nie zważając na szyderstwa tych, którzy są bardziej godni pożałowania od nas samych.

W naszej nauce i nawet filozofii nie istnieje po prostu żadna prawdziwa i absolutna ocena rzeczy. Duch sekciarski i bigoteria zapuściły korzenie wśród gwiazd, a wystarczy tylko przedyskutować problem, czy gwiazdy są zamieszkałe, aby tam ową bigoterię i sekciarstwo wykryć. Dlaczego musimy zaśmiecać i niebo, i ziemię? Niefortunne to odkrycie, że zarówno doktor Kane, jak i Sir John Franklin⁴ byli

³ Robert O'Hara Burke (1820-61) - irlandzki podróżnik. Jako pierwszy biały człowiek przewędrował kontynent australijski z południa na północ.

⁴ Elisha Kent Kane (1820-57) - amerykański podróżnik i badacz polarny, z zawodu lekarz; w latach 1850-52 brał udział w jednej z 21 ekspedycji wysłanych na poszukiwanie Johna Franklina. Sir John Franklin

masonami. Wszelako jeszcze gorsze i okrutniejsze były pogłoski, że właśnie dzięki temu ten pierwszy poszukiwał drugiego. W kraju naszym nie ma żadnego popularnego czasopisma, które ośmieliłoby się wydrukować bez komentarza pogląd dziecka na jakieś istotne sprawy. Trzeba wypowiedź przedłożyć najpierw do oceny jakiemuś kuratorowi, a przyznam, że wolałbym, żeby oceniały ją pluszowe misie.

Wracasz z pogrzebu ludzkości po to, aby służyć naturalnemu zjawisku. Bezmyślność jest grabarzem całego świata.

Nie znam chyba na tyle mądrego i myślącego człowieka, który miałby tak nieograniczony i tolerancyjny umysł, że można by było myśleć na głos w jego obecności. Większość ludzi, naszych niefortunnych rozmówców, zaczyna od razu krytykować jedną z instytucji, w której - jak się okazuje - posiada akcje. Ma zatem szczegółowe, a nie ogólne spojrzenie na świat. Zawsze będą owi ludzie uparczywie zasłaniać ci niebo swoim niskim dachem a wąskim świetlikiem, podczas gdy ty chciałbyś widzieć je w całej okazałości. Niech się wynoszą ze swoimi pajęczynami! Niechaj myją okna! Mówiono mi, że głosowano za wyłączeniem tematów religijnych z programu prelekcji niektórych sal wykładowych. Skąd mam jednak wiedzieć, jaką oni wyznają religię i kiedy wykładam zgodnie z nią, a kiedy jej się sprzeniewierzam? Wkroczyłem zatem na podium i zrobiłem wszystko, aby szczerze wyznać, co jest moją religią, ale słuchacze nic z mego wywodu nie zrozumieli. Wykład był dla nich nieszkodliwym wytworem mojej fantazji. Gdybym natomiast odczytał im biografie największych lotrów w historii, pomyśleliby, że opisałem życiorysy diakonów z ich kościoła. Ludzie przeważnie pytają tylko o takie rzeczy, jak: "Skąd przyszedłeś?" lub: "Dokąd idziesz"? Kiedyś jednak doleciało mnie pytanie mające większy związek z aktualną sytuacją. Zadał je jeden z moich słuchaczy drugiemu: "Po co on prowadzi ten wykład"? Zachwiałem się na nogach.

Mówiąc bezstronnie, najlepsi ludzie, jakich znam, nie są pogodni i niezależni. W większości wypadków skrupowani są formami i szafują pochlebstwem, od innych zaś różnią się jedynie tym, że skutki swych pochlebstw śledzą z większą uwagą i zrozumieniem. Wybieramy granit na podmurowania naszych domów i stodół, budujemy kamienne ogrodzenia, lecz sami nie wspieramy się na fundamentach z granitowej prawdy - najskromniejszej, prymitywnej skały. Progi nasze są przegniłe. Z jakiej materii ulepiony jest człowiek, który w naszych myślach nie współistnieje z najczystsza i najsubtelniejszą prawdą? Często oskarżam swoich najlepszych przyjaciół o bezgraniczną lekkomyślność, albowiem wiedząc, że pewne obyczaje i konwenanse są nam obce, nie uczymy się wzajemnie uczciwości i szczerości, jak zwierzęta, ani stałości i solidności, jak skały. Jednakże wina jest na ogół obopólna, tak mało bowiem od siebie na co dzień wymagamy.

A owo wielkie podniecanie sprawą Kossutha - jakże było charakterystyczne i powierzchowne! Niczym nowym prądem w polityce albo tańcem. W całym kraju ludzie wygłaszali do Kossutha przemówienia, ale wszystkie wyrażały jedynie myśl lub bezmyślność ogółu. Nikt nie zadał sobie trudu zastanowienia się, jaka jest prawda. Wszyscy tylko zespolili się w jedną całość i jak zwykle jeden wspierał się na drugim, a wszyscy razem na niczym. Zupełnie jak ten Hindus, który zmusił świat do

(1786-1847) - angielski oficer marynarki, badacz krajów arktycznych, dowódca 129-osobowej wyprawy, która wyruszając 1845 r., miała najkrótszą drogą z Zatoki Baflina osiągnąć dzisiejszą Cieśninę Beringa oraz przeprowadzić badania nad magnetyzmem, lecz po paru miesiącach słuch o wyprawie zaginął.

wspierania się na słoniu, słonia na żółwiu, a żółwia na wężu, lecz pod węża nie miał już co podstawić. Kapelusze Kossutha to jedyne, cośmy osiągnęli z tego całego poruszenia.

Podobnie pusta i bezskuteczna jest zazwyczaj nasza codzienna rozmowa. Powierzchność styka się z powierzchnością. Kiedy życie nasze przestaje być życiem wewnętrznym i prywatnym, rozmowa wykoślawia się do zwykłego plotkarstwa. Rzadko kiedy udaje nam się spotkać człowieka, który może przekazać nam nowiny nie wyczytane w gazecie lub nie opowiedziane mu przez sąsiada, i przeważnie jedyną różnicą między nami a naszym rozmówcą polega na tym, że on miał w rękę gazetę albo był na proszonej herbatce my zaś nie. Kiedy wygasa nasze życie wewnętrzne, z coraz to większym uporem i rozpaczą chodzimy na pocztę. Można mieć pewność, że biedaczyna powracający z największą ilością listów, dumny ze swojej rozległej korespondencji, od dłuższego już czasu nie miał od siebie samego żadnych nowin.

Nie wiem, ale myślę, że czytanie jednej gazety na tydzień to zbyt wiele. Właśnie ostatnio tego próbowałem i odniosłem wrażenie, że nie mieszkam w swoich rodzinnych stronach. Słońce, chmury, śnieg i drzewa nie mają mi już tak wiele do powiedzenia. Nie można służyć dwóm panom. Jeden dzień to za mało, aby poznać i posiadać bogactwo jednego dnia.

Powinniśmy się wstydzić opowiadania o sprawach, które przeczytaliśmy lub usłyszeliśmy w ciągu dnia. Dlaczego nowiny moje miałyby być tak trywialne? Biorąc pod uwagę nasze marzenia i nadzieje, trudno jest zrozumieć, dlaczego ich wprowadzenie w życie miałyby wyglądać tak marnie. Nowiny, których słuchamy, nie są tym, czego oczekuje nasz umysł. Powtarza się je do znudzenia. Często kuszą nas, aby zapytać, dlaczego kładzie się taki szczególny nacisk na jakieś wydarzenie, na to, że po dwudziestu pięciu latach znowu spotykamy na ulicy Hobbinsa, archiwariusza. Czyżbyśmy więc nie ruszyli z miejsca ani o krok? Takie oto są codzienne nowiny. Wydaje się, że fakty w nich zawarte unoszą się w powietrzu jak nasiona grzybów, a padając na jakąś zaniedbaną plechę albo na powierzchnię naszych umysłów zakorzeniają się - wszak jest ona dla nich podłożem umożliwiającym pasożytnicze życie. Powinniśmy się wystrzegać takich nowin. Co z tego, że planeta nasza by wybuchła, gdyby nic się przez to nie zmieniło? Kiedy dopisuje nam zdrowie, nie przejawiamy najmniejszego zainteresowania tego rodzaju wydarzeniami. Nie żyjemy dla błahych rozrywek. Nie chciałoby mi się pobiec nawet za róg, aby popatrzeć, jak świat wylatuje w powietrze.

Przez całe lato i być może jeszcze długo jesienią podświadomie unikało się gazet i nowin, a teraz zdajemy sobie sprawę, że to dzięki temu, iż rano i wieczór miały nam zawsze wiele nowego do powiedzenia. Przechadzki nasze pełne były różnorodnych wydarzeń. Nie zajmowały nas sprawy Europy, lecz nasze własne, związane z polami Massachusetts. Jeżeli zdarzy nam się żyć, poruszać i istnieć w tej cienkiej warstwie, w której dzieje się wszystko to, co potem ludzie przekazują sobie jako nowiny, w warstwie cieńszej niż papier, na którym się je drukuje, wtedy rzeczy te wypełnią nam świat; lecz jeśli wzbijamy się ponad tę płaszczyznę lub opadamy poniżej jej poziomu, nie możemy o nich pamiętać ani nikt nie zdoła nam o nich przypominać. Gdybyśmy codziennie oglądali wschód czy zachód słońca, aby odczuć swe związki z owymi zjawiskami wszechświata, moglibyśmy dzięki temu na zawsze pozostać przy zdrowych zmysłach. Narody! Czym są narody? Tatarzy i Hunowie, i

Chirńcy! Roją się jak owady! Na próżno historyk stara się je uwiecznić. Tylko z braku Człowieka istnieje tak wielu ludzi. Świat zaludniają jednostki. Każdy myślący człowiek powtórzy z pewnością za Duchem Lodina:

Ze swoich wysokości spoglądam na narody,
One na moich oczach w popiół się zmieniają;
Ciche moje mieszkanie wśród obłoków,
Miłe są wielkie pola, gdzie zażywam spokoju⁵.

Błagam, żyjmy tak, aby nie ciągały nas psy na wzór eskimoski, pędząc przez wzgórza i doliny i ogryzając sobie nawzajem uszy.

Często przeszywa mnie dreszcz zgrozy na samą myśl o tym, że zająłem swój umysł szczegółami jakiejś trywialnej sprawy - plotkami ulicznymi. Zdumiewa mnie również to, jak chętnie ludzie zagracają sobie pamięć takimi bzdurami, jak pozwalają, aby jałowe plotki i wydarzenia pozbawione jakiegokolwiek znaczenia wdzierały się na grunt, który powinien być poświęcony myślom. Czy umysł ma spełniać rolę areny publicznej, na której omawia się głównie szare, codzienne sprawy i wymienia plotki zrodzone przy filiżance herbaty? Czy powinien być częścią samych niebios - świątynią pod gołym niebem poświęconą kultowi bogów? Tak trudno byłoby mi usunąć z pamięci tych kilka istotnych dla mnie faktów, że waham się absorbować myśli faktami nieistotnymi, takimi, które tylko umysł boski potrafiłby wyjaśnić. Takie bowiem są najczęściej wiadomości czerpane z gazet i rozmów towarzyskich. Najważniejsze, aby w podobnych sprawach zachować czystość umysłu. Pomyślcie, że dopuścimy, aby na przykład szczegóły jakiejś jednej kryminalnej sprawy sądowej drażyły nasz umysł beczeszcząc dniem i nocą to, co jest samym "sanctum sanctorum" - aby przemieniły w szynk najgłębsze zakamarki naszych umysłów, aby uliczny tłum, gwar i brud wtargnął do świątyni naszych myśli, jak gdyby przez tak długi czas właśnie kurz uliczny zaprzątał naszą uwagę. Czy nie byłoby to intelektualnym i moralnym samobójstwem? Kiedy powołano mnie, abym jako słuchacz i obserwator siedział przez kilka godzin na sali sądowej, widziałem, jak moi sąsiedzi o starannie wymytych dłoniach i twarzach, przybyli tam tylko z własnej ciekawości, wślizgiwali się ukradkiem na palcach. Kiedy zaś zdjęli kapelusze, ujrzałem w wyobraźni, jak uszy ich zaczęły się nagle rozrastać na kształt ogromnych muszli pochłaniających dźwięk. Między nimi nawet ich ciasnym głowom trudno się było pomieścić. Niby skrzydła wiatraka zagarniały szeroki, lecz płytki strumień dźwięku, który kilkakrotnie zawirowawszy, podniecił ich niby-mózgi i uleciał. Zastanawiałem się, czy - kiedy wrócili do domów - myli z taką samą pieczołowitością uszy, jak uprzednio twarze i ręce. Wydawało mi się, że w tej sytuacji publiczność i świadkowie, sędziowie przysięgli i adwokaci oraz sędzia i przestępca na ławie oskarżonych - jeśli wolno mi, uznać go winnym, zanim zapadł wyrok skazujący - wszyscy byli w równym stopniu kryminalistami i tylko grom z jasnego nieba byłby w stanie ich unicestwić.

Należy stosować wszelkiego rodzaju zasadzki i wybiegi, aby niebezpieczeństwo grożące najwyższymi karami prawa boskiego zamknęło dzięki naszej przebiegłości

⁵ James Macpherson (1736-96) – "Carriettura" (1761) - fragment wypowiedziany przez Ducha Lody (Spirit of Loda), a nie Lodina.

dostęp tym przestępcom do jedyne go miejsca, które może być poświęcane tylko nam samym. Tak trudno jest zapomnieć coś, o czym pamięć jest zbędna, a co gorsza - szkodliwa! Jeśli już mam być uczęszczanym traktem, to wolę, aby przepływały przeze mnie górskie potoki lub strumienie Parnasu aniżeli miejskie ścieki. Niosą w swym nurcie plotkę z niebiańskich pałaców, która chłonnemu umysłowi może dać natchnienie. Niosą też bluźnierstwa z zatęchłego szynku i podwórza policyjnego. To samo ucho potrafi odebrać oba te przekazy, a tylko od charakteru słuchacza zależy, na który z nich będzie dawało baczenie. Moim zdaniem nawyk zajmowania się trywialnymi sprawami może do tego stopnia zbezcześcić umysł, że wszystkie nasze myśli na zawsze zabarwią się banalnością. Fundamenty naszego intelektu ulegną rozbiuciu i rozdrobnieniu na kawałki, a te, niby nawierzchnią z tłucznia, pokryją nasz intelekt, aby koła podróźnych miały się po czym toczyć. Gdybyśmy chcieli się dowiedzieć, z czego się buduje najtrwalszą nawierzchnię, twardszą od otoczków, pni świerkowych i asfaltu, musimy tylko głębiej wejrzeć w niektóre nasze umysły od dawna już tym praktykom poddawane.

Skoro tak zbezcześciliśmy samych siebie - a któż tego nie zrobił? - musimy tę krzywdę naprawić ostrożnością i oddaniem się ponownemu uświęcaniu nas samych, powtórnemu zbudowaniu sanktuarium w umyśle. Powinniśmy traktować swoje umysły, to znaczy samych siebie, jak niewinne i naiwne dzieci, których obrońcami sami jesteśmy, i uważać, jakie cele i tematy narzucamy ich uwadze. Nie czytajcie "Czasu". Czytajcie "Wieczne Prawdy". Konwenanse są w końcu równie złe, jak nieczystość. Nawet prawa naukowe potrafią pokryć kurzem nasze umysły, są bowiem suche i drętwe, chyba że co rano odkurza się je albo raczej użyźnia rosą świeżej i żywej prawdy. Wiedza nie objawia nam się w szczegółach, lecz spływa w strumieniach niebiańskiego światła. Tak, każda myśl przebiegająca przez umysł pomaga nam spożytkować oraz pogłębiać koleiny, które, podobnie jak na ulicach Pompei, służą za dowód, jak często się z nich korzysta. Ilu rzeczy to dotyczy; powinniśmy się zastanowić, czy warto o nich wiedzieć, czy też lepiej puścić je truchtem albo stępa niby wozy domokrażców przez ów most o wspaniałej rozpiętości, przez który, jak wierzymy, i my w końcu przejdziemy z najdalszego krańca czasu do najbliższego brzegu wieczności! Czy nie posiadamy kultury i subtelności, lecz jedynie wprawę w prowadzeniu prostackiego życia i w służbie Szatanowi? W zdobywaniu odrobiny bogactw tego świata, sławy czy wolności, i w posiadaniu ich na pokaz, tak jakbyśmy byli cali pokryci pancerzem lub skorupą i pozbawieni wrażliwego i czulego jądra? Czy instytucje nasze mają przypominać kaszanyi o marnych owocach, którymi można sobie tylko pokuć palce?

Podobno Ameryka jest areną, na której ma się toczyć walka o wolność, ale z pewnością nie chodzi tutaj o wolność tylko w sensie politycznym. Nawet jeśli założymy, że Amerykanin uwolnił się spod tyranii politycznej, ciągle pozostaje niewolnikiem tyranii ekonomicznej i moralnej. Teraz, kiedy ustanowiono republikę - "res publica" - nadszedł czas, ażeby się rozejrzeć za "res privata" - państwem prywatnym - i dopilnować, żeby prywatne państwo nie doznało uszczerbku, zgodnie z tym, czego senat rzymski nauczał swoich konsuli - "ne quid res - PRIVATA detrimenti caperet".

Czy taki kraj jak nasz można nazwać ojczyzną wolnych ludzi? Czymże jest uwolnienie się spod władzy króla Jerzego, gdy wciąż jeszcze pozostajemy niewolnikami Króla Przesądów? Jak można urodzić się człowiekiem wolnym, lecz

nie móc żyć jako taki? Jaką wartość ma wolność polityczna, jeżeli nie zapewnia wolności moralnej? Czy szcycimy się wolnością niewolnictwa, czy wolnością swobody? Jesteśmy narodem polityków zajmujących się umacnianiem wyłącznie zewnętrznych fortyfikacji wolności. Być może dzieci naszych dzieci będą naprawdę wolne. Niesprawiedliwie nakładamy na siebie podatki. Część z nas nie jest reprezentowana we władzach ustawodawczych. Mamy zatem opodatkowanie bez reprezentacji. Dajemy kwatery wojsku, głupcom i bydłu wszelkiego rodzaju. Dotąd będziemy hodować swoje spasione ciała na biednych duszach, aż pożremy całą ich kwintesencję.

Co się tyczy prawdziwej kultury i dojrzałości, wciąż jeszcze zdecydowanie tchnie od nas prowincją - nie mamy żadnego szerszego spojrzenia, ot tacy z nas prości Jonathanie. Jesteśmy prowincjonalni, albowiem w domach naszych nie znajdujemy wzorców, albowiem nie czcimy prawdy, lecz jej odbicie, albowiem wypaczyło nas i ograniczyło wyłącznie poświęcenie się rzemiosłu, handlowi, przemysłowi, uprawie roli i tym podobnym zajęciom, które są tylko środkami, a nie celem.

Równie prowincjonalny jest angielski parlament. To zwykli wiejscy prostacy. Demaskują się wtedy, gdy należy rozwiązać jakąś poważniejszą kwestię, na przykład problem irlandzki - a właściwie dlaczego nie miałbym go nazwać problemem angielskim? Natury ich ujarzmiła praca, którą wykonują, zaś "dobre wychowanie", jakie otrzymali, nakazuje szacunek tylko dla drugorzędnych celów. Najdoskonalsze na świecie maniere to skrępowanie i głupota przeciwstawione bardziej wyrafinowanej inteligencji. Pojawiają się tylko jako moda czasów minionych - pusta dworskość, klamerki pod kolanami przy krótkich spodniach - ot staroświecczyzna. Dobre maniere tracą swoją istotę i sens - i na tym polega całe zło; są jak wyrzucona odzież albo skorupy roszczące sobie pretensje do szacunku przynależnego istotom żywym. Ludzie obdarowują nas łuskami zamiast mięsem, jednakże fakt, iż w przypadku niektórych ryb łuska jest więcej warta aniżeli mięso, nie stanowi na ogół żadnego wytłumaczenia. Człowiek, który demonstruje przede mną tylko swoje maniere, postępuje tak, jakby upierał się pokazać mi swój gabinet osobliwości wtedy, gdy ja chciałbym poznać jego samego. Wszelako nie to miał na myśli poeta Decker nazywając Chrystusa "pierwszym prawdziwym dżentelmenem, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi". Ja zaś powtarzam, że w tym właśnie sensie najwspanialszy dwór chrześcijański jest prowincjonalny; upoważniony jedynie do zajmowania się sprawami transalpejskimi nie ma wglądu w interesy Rzymu. Wystarczyłby jeden pretor czy prokonsul, aby rozwiązać kwestie absorbujące uwagę angielskiego parlamentu i amerykańskiego Kongresu.

Rząd i ustawodawstwo! Myślałem, że to instytucje godne poważania. Historia świata mówi o zrodzonych przez niebiosy Numach, Likurgach i Solonach, którzy mogą być symbolami idealnych ustawodawców; lecz czy do pomyslenia jest ustawa regulująca płodność niewolników lub eksport tytoniu! Co wspólnego mają bosczy prawodawcy z eksportem czy też importem tytoniu? A cóż z kolei ludzcy prawodawcy z płodnością niewolników? Przypuśćmy, że mielibyśmy poddać ten problem pod rozważę jakiemuś synowi Bożemu - czyż nie ma On dzieci w dziewiętnastym wieku? Czyż jest to rodzina wymarła? - jaką byśmy otrzymali odpowiedź? Co taki stan jak Wirginia będzie mógł powiedzieć na swoją obronę w Dzień Sądu Ostatecznego? Stan, w którym niewolnicy są głównym i podstawowym

artykułem produkcji. Jakie podłoże patriotyzmu może istnieć w takim stanie? Fakty te zacerpnałem z tabel statystycznych opublikowanych przez państwo.

A handel, który bieleje żaglami na wszystkich morzach w poszukiwaniu orzechów i rodzynek, marynarzy zaś przemienia w niewolników! Któregoś dnia widziałem wrak statku po katastrofie, w której straciło życie wielu ludzi. Brzeg upstrzony był ładunkiem łąchów, owoców jałowca i gorzkich migdałów. Nie opłaca się chyba kusić niebezpieczeństw czyhających na morzu między Leghorn a Nowym Jorkiem jedynie dla ładunku owoców jałowca i gorzkich migdałów. Ameryka posyłająca po gorczycę do Starego Świata! Czyż gorycz soli morskiej albo katastrofy nie wystarczy, aby pograżyć w niej puchar życia? Taki wszelako jest nasz handel, którym się szczycimy, a ludzie tytułujący się mężami stanu i filozofami, są na tyle ślepi, żeby twierdzić, iż postęp i cywilizacja zależą od tego właśnie rodzaju wymiany i krążenia tam i z powrotem - krążenia much nad beczką melasy. Świetnie - mógłby ktoś zauważyć - gdyby ludzie byli ostrygami. Ja zaś odpowiedziałbym na to - doskonale, gdyby byli komarami.

Porucznik Herndon, któremu rząd nasz polecił eksplorację Amazonii i - jak mówią - przeniesienia niewolnictwa na owe tereny, zaobserwował, że brakowało tam "ludności przedsiębiorczej i energicznej, która by wiedziała, co znaczy wygoda w życiu, i odczuwając wygórowane, sztuczne potrzeby, chciałby zawładnąć wielkimi bogactwami tej krainy". Cóż to za "sztuczne potrzeby", których odczucia należałoby nauczyć owych tubylców? Chyba nie chodzi o miłowanie takich luksusów, jak tytoń czy niewolnicy w ojczystej Wirginii porucznika ani też lód i granit czy inne dobra materialne naszej ojczystej Nowej Anglii. Nie są też owe "wielkie bogactwa krainy" płodnością czy jałowością gleby, która je wytwarza. Główną potrzebą mieszkańców w każdym znanym mi stanie było wytyczenie wzniosłego i poważnego celu. Sam jego brak wystarczy, aby wrywano przyrodzie "wielkie bogactwa" i nakładano na nią podatki przewyższające jej zasoby; człowiek bowiem naturalnie umiera pozostawiając przyrodę jej własnemu losowi. Kiedy istnieje większe zapotrzebowanie na kulturę aniżeli ziemniaki i kiedy ludzie bardziej pragną oświecenia aniżeli cukierków, wtedy opodatkowuje się i eksploatuje wielkie bogactwa świata, a efektem, czy też podstawowym artykułem produkcji, nie są niewolnicy ani robotnicy obsługujący maszyny, lecz ludzie - te rzadkie owoce nazywane bohaterami, świętymi i poetami, filozofami i odkupicielami.

Krótko mówiąc, podobnie jak zaspas śnieżna narasta tam, gdzie wiatr się chwilowo ucisza, tak można by rzec, tam, gdzie przycicha prawda, wyrasta instytucja. Mimo to jednak prawda nadal miota się nad nią i w końcu burzy ją ostatecznie.

To, co nazywa się polityką, jest czymś stosunkowo tak powierzchownym i nieludzkim, że praktycznie nigdy rzeczywiście nie uznałem jej za coś, co mnie w ogóle dotyczy. Jak zauważyłem, gazety celowo poświęcają niektóre kolumny polityce czy sprawom rządowym nie pobierając za to żadnej opłaty i można powiedzieć, że jedynie to jest dla nich ratunkiem. W każdym razie ja, który Kocham literaturę, a w pewnym stopniu także i prawdę, nigdy tych kolumn nie czytuję. Nie chciałbym aż tak zatracić poczucia praworządności. Nie muszę odpowiadać za przeczytanie nawet jednej jedynej odezwy prezydenta. Dziwny to okres w historii świata, kiedy imperia, królestwa i republiki przychodzą żebrać do prywatnych drzwi i użalają się na ramieniu obywatela. Nie biorę gazety do ręki, lecz wiem, że taki, czy inny

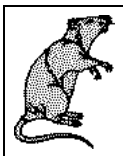
nieszczęsny rząd ledwo trzymający się na glinianych nogach apeluje do mnie, czytelnika, abym zechciał na niego głosować - a jest bardziej natarcywy niżli włoski żebrak. Ja zaś, jeżeli będę miał akurat ochotę rzucić okiem na jego referencje - wystawione zapewne przez jakiegoś życzliwego kupieckiego kancelistę albo kapitana statku handlowego, który musiał je skądś przywieźć, albowiem angielszczyzna listu jest oplakana - przeczytam prawdopodobnie o wybuchu jakiegoś Wezuwiusza lub o tym, że jakiś prawdziwy czy też zmyślony Pad wystąpił z brzegów, co doprowadziło ów rząd do obecnego położenia. W tej sytuacji bez wahania proponuję mu pracę lub przytułek. A z drugiej strony, dlaczegoż nie miałby, podobnie jak ja, sam sobie radzić ze swoimi problemami? Biedny prezydent! Zupełnie traci głowę zabiegając o utrzymanie popularności i wykonując swoje obowiązki. Prasa jest siłą rządzącą. Wszystkie inne władze zredukowano do kilku żołnierzy piechoty morskiej w Fort Independence. Jeżeli ktoś nie będzie czytał "Daily Timesa", rząd przyczołga się do niego na kolanach, gdyż w obecnych czasach to jedyna możliwa forma zdrady.

Sprawy, które teraz najbardziej przykuwają uwagę ludzi, to jest polityka i codzienne obowiązki, są naprawdę podstawowymi funkcjami ludzkiego społeczeństwa, lecz powinno się spełniać je nieświadomie, tak jak odpowiadające im funkcje ciała fizycznego. Są infraludzkie, to po prostu rodzaj wegetacji. Czasami odczuwam ich obecność wokół siebie na w pół świadomie podobnie jak ktoś o schorzałym układzie trawiennym może być świadom procesu w nim zachodzącego i w ten sposób nabawić się tak zwanej niestrawności. Zupełnie, jakby myśliciel poddał się przeżuwanu przez wielki drugi żołądek świata. Polityka jest takim jak gdyby drugim żołądkiem społeczeństwa, pełnym piasku i żwiru, a obie partie polityczne stanowią jego dwie pozostające w opozycji do siebie połowy - czasami, jak bywa, podzielone jeszcze na ćwiartki, które miażdżą się nawzajem. Przeto, nie tylko poszczególni ludzie, ale także całe stany chorują na niestrawność, która wyraża się łatwą do wyobrażenia elokwencją. A zatem życie nasze nie jest jedynie zapominaniem, lecz także, niestety, w dużym stopniu pamiętaniem tego, czego nigdy nie powinniśmy być świadomi, zwłaszcza zaś w chwili przebudzenia. Dlaczegoż nie mielibyśmy przestać się spotykać jako ludzie nękani niestrawnością i opowiadający o swych złych snach i czasami przychodzić na spotkania jako osoby, które nie mają kłopotów z trawieniem, aby pogratulować sobie cudownego, jak zawsze, poranka? Nie sądzę, bym miał przesadne wymagania.

Przedruk:

H. D. Thoreau: Życie bez zasad, wybór przekład i opracowanie H. Ciepłńska, Czytelnik, Warszawa 1983.

Henry David Thoreau (1817-1862), amerykański filozof, moralista i pisarz. Wraz z R. W. Emersonem główny przedstawiciel transcendentalizmu. Obserwator i miłośnik przyrody. Rzecznik indywidualizmu i "obywatelskiego nieposłuszeństwa". Krytykował władzę, która oparta jest na przymusie. Jednostki stawiał wyżej niż państwo - bo to jest tylko cczą abstrakcją. Zamiast praw stanowionych proponował oprzeć się w codziennym postępowaniu na prawie moralnym. Chciał nauczyć ludzi dostrzegać wpierw sprawiedliwość, a potem dopiero prawo. I konsekwentnie dalej: najpierw człowieka, a potem obywatela.



RED RAT

red-rat.w.interia.pl
www.red-rat.republika.pl